

Justyna Hankus

# Poświst

Folk noir



**powergraph**

Warszawa 2025

Copyright © 2025 by Justyna Hankus  
Copyright © 2025 by Powergraph  
Copyright © 2025 for the cover by Mikita Rasolka  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Projekt okładki i ilustracja: Mikita Rasolka

Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel.: +48 22 834 18 25  
powergraph.pl  
powergraph@powergraph.pl

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin Sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl  
www.dressler.com.pl



**ISBN 978-83-67845-83-0**

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA  
Printed in Poland, EU

*Siostrze*



*Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu,  
Jaki zadaje sobie pod słońcem?  
Pokolenie przychodzi, pokolenie odchodzi,  
A ziemia trwa po wszystkie czasy.  
(...)*

*Ku południowi ciągnąc  
I ku północy wracając  
Kolistą drogą wieje wiatr  
I znowu wraca na drogę swojego krążenia.  
(...)*

*Nie nasyci się oko patrzeniem  
Ani ucho napelni słuchaniem  
To, co było, jest tym, co będzie  
A to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie:  
Więc nic zgoła nowego pod słońcem  
(...)*

Biblia Tysiąclecia, Stary Testament (Księga Koheleta, 1, 2–11)

*Starych ludzi nikt nie przytula, ich kości są kruche.*  
Rojowa

*Ze śmiercią człowiek jest zupełnie sam.*  
Ignacy Walasek



Niknące światło podpiekało obłe szczyty Beskidów, wyjaskrawiając je niczym złote bułki. Gdyby znalazł się śmiałek patrzący teraz pod słońce, zobaczyłby Jakuba wędrującego z Beer-Szeby do Charanu, jak podpierając się kijem, idzie mozolnie przez pustynię. Sandały zapadały się w gorącym piasku, ale zaraz za łąką Płonków zaczynało się rżysko po owsie. Jakub sapnął i zatrzymał się. Powiódł wzrokiem dookoła i pomyślał, że ma jeszcze daleko. Gdy podjął wędrówkę, znad łąk wstał deszcz, wspiał się, zabuzował i spadł. I spadał tak długo, aż świat zaczął przypominać mokrą szmatę, która rozlazła się ze starości.

Lało teraz, jakby morze chlustało przez wielkie sito. Powietrze krztusiło się wodą, wyrzuając na drogę kałuże, a bulgocząca wilgoć z kolein pełnych miękkiego błota śmierdziała zielskiem i obornikiem.

I w tej miękkiej szarości pokazał się gęściejszy punkt, który rósł, rósł, aż przedarł się przez mgłę.

— A, jesteś — mruknął Jakub, patrząc w dół, i usiadł na polnym kamieniu. Podparł się kijem, którym trochę grzebnął w błocie, żeby rozerwać mleczne zasłony.

Środkiem drogi, nie zważając na deszcz, przedzierała się postać nieprzypominająca niczego, co ludzkie. Miała wprawdzie dwie nogi, jedną drewnianą, ale powyżej nich kształt się wybrzuszał i wypiętrzał w nadmiar form. Dwie z nich, okrągłe, były niewątpliwie dwiema głowami; jedna umieszczona niżej, druga wyżej, ta niższa z wysiłkiem wysunięta była do przodu, druga rozglądała się uważnie. Stwór kiwał się na boki, wyciągając nogi z pryzm błota, grzęzł zaraz w następnych, a proteza klinowała się w głębszych dziurach. Doszedł do krzyżówki, minął martwy pień dębu – pozbawiony korony, za to z żelaznym krzyżem – i zatrzymał się przy płocie, który otaczał karcznię przycupniętą na skraju wsi. Wokół nie było żywej duszy, ludzie jeszcze spali, a kto nie spał, nie miał nawet po co wyglądać przez okno.

— No, dobre — odezwał się stwór sam do siebie. — Tu.

Jedna ręka machnęła, wskazując stos drewna ułożonego pod ścianą karczmy. Postać usiadła na stercie, a potem rozdzieliła się na dwie części, z których każda okazała się jak najbardziej ludzka. Krzepki chłop z drewnianą nogą, który niósł na plecach kobietę, sapnął z ulgą, ułożył się pod ścianą i natychmiast zasnął. Baba zaś wyprostowała się, wygładziła materiał na biuście i spojrzała w niebo.

— Pieniądz — powiedział Jakub.

Sięgnęła do płaszcza i wyjęła skórkę z jabłka. Włożyła ją do kapoty śpiącego, skórką spadła na dno kieszeni i zamieniła się w monetę.

— Teraz to twoja wieś, przyjdę po ciebie za rok albo dwa.

\*\*\*

Uniosła ręce, czubkami palców sięgnęła chmur i szmyrgnęła nagle, wirem nad dach karczmy, a potem w dół. Zakręciła tuż przy płocie, odbiła się od ściany budynku i świszcząc, przeleciała nad drogą prosto do wsi.

— W imię ojca i syna. — Przeżegnała się żona karczmarza, która właśnie wyszła z domu, bo ktoś przecież musiał wydoić krowy.

Płot zwałił się z trzaskiem, z dachu posypało się kilka gontów. Deszcz ustał nagle jak ręką odjął.

— Co to było? — Zaspány karczmarz wychylił się zza drzwi.

— Musi Słowacy coś szmuglują.

Na horyzoncie pękło niebo i jasnoróżowe pasmo obłoków wydostało się na zewnątrz.

Niech będzie, powiedział Jakub do siebie i mówił tak za każdym razem przez następne sto lat.



## **Część pierwsza. 1930**



# PÓŁNOC

## 1

Noc o zapachu lebiody i czosnku wycisnęła z księżyca resztę światła i rozłożyła je nisko nad ziemią, sprawiedliwie dzieląc między domy w Krzemiennej. We śnie wieś parowała z ciał ludzi i zwierząt i wyglądała jak klocki olbrzyma rozstawione prymitywnie, lecz praktycznie – na samej górze kościół, na dole karczma, pośrodku plac ze studnią.

Było spokojnie, niewielki ruch powietrza wywoływał szelest liści, który spływał do korzeni drzew szukających sobie nowych leży. Drobne pazurki traw wczepione w ziemię drapały po grzbiecie wierzące się krety i płochliwe nornice. Gdzieś w stronę szczytu Óchrapa wiodła ścieżka, którą znaczyły unoszące się nad trawami świetliki, w dole nad podmokłą łąką brzęczały roje komarów. Zwierzęta spały w zagrodach, krowy meły jęzorem trawiaste sny z szerokich łąk, warchlaki wierciły się przy matkach, koty przelewały przez ranty zapiecków, czujne psy powarkiwały zaś przez sen, gotowe w każdej chwili skoczyć na cztery łapy.

Agata Rojowa narzuciła chustę na koszulę nocną i wyszła przed budynek plebanii kościoła Świętego Krzyża z podpaloną wiązką suchej szalwii. Zaczęła obcho-  
dzić górkę kościelną, zatrzymując się co parę kroków i popatrując na wieś. Machała wiechciem, podsycając żar, i mamrotała pod nosem ni to modlitwy, ni to zaklęcia.

Przystanęła nagle, schyliła się i wytrzepała z drewniaka drobny dokuczliwy kamyk, zachwiała się. Pokręciła z niesmakiem głową nad własną słabością. Nasłuchiwała. Jeszcze raz popatrzyła w dół na domy i zamachała szalwią, zostawiając w powietrzu łuk dymu, a potem dłonią przydusiła gałązkę.

Cichutko, by nikogo nie obudzić, weszła przez kuchnię na plebanie i zamknęła drzwi na żelazną zasuwę. Piec stygł, trzeszcząc lekko, na stole błyszczały rubinowo słoje z kompotem z wiśni, poodwracane do góry dnem. Agata ściągnęła buty pod piecem, poruszyła bolącą stopą, która nie dawała o sobie zapomnieć. Wzięła drewniaki. W sieni było ciemno, ale drogę знаła na pamięć, nie potrzebowała światła; jej pokój znajdował się na końcu korytarza. Przechodząc obok jadalni, zajrzała tam jeszcze. Oddechy śpiących chłopców współgrały ze sobą – jeden był cichy, a drugi świszczący; spali głęboko. Rojowa położyła się, lecz długo nie mogła zasnąć, uparta myśl, której nie potrafiła uchwycić, krążyła nad nią w postaci świetlistego wędrowca, dopóki nie wchłonał jej sen.

O północy z jednej strony nieba nadpłynęła tłusta chmura i zasłoniła księżyc. Wtedy to parkiet w jadalni skrzypnął cienko, a po chwili skrzypnął drugi raz, w innym tonie, jakby deski wymieniły między sobą ważne informacje. Jadalnia pachniała ciastem owocowym ułożonym na paterze pod kłosem i agrestem, zbyt kwaśnym, żeby się nim objadać. Stał tutaj duży stół, ośmioosobowy, tyleż samo krzeseł, czeczotkowy kredens art deco, bardzo modny, i szklana etażerka, pamiętająca jeszcze czasy c.k. Austro-Węgier.

Pod ścianą jadalni leżały dwa sienniki, które zajmowali dwaj kuzyni: ośmio- i dziesięciolatek. Gdy chmura odsunęła się od księżyca, młodszy, Andrzejek, poruszył się na swoim pościeliu i sapnął. Jego siennik leżał z brzegu i chłopiec zsunął się nogami na dywan. Odwrócił się na wznak, zachrapał z uchylonymi ustami. Coś przeleciało przez pokój – drobny owad, który odbił się od świętego obrazka na ścianie i z brzęczeniem wpadł do kieliszka na półce etażerki. Noc jeszcze raz zajrzała przez okno, posłała przez pokój świetlistą smugę, pomacała śpiących, omiotła meble i wyprowadziła ją na zewnątrz, za chmurę.

Zagrzmiało z daleka.

Drugi chłopiec, Staś, usiadł nagle na pościeliu, nasłuchiwał. Zbliżył nos do Andrzeja, obwąchał go i przekroczył, wstając z pościeliu. Poruszał się delikatnie, jakby płynął. Przeginając ciało, omijał w ciemności meble i obszedł pokój dwa razy, nie potrącając ani żadnego przedmiotu, ani śpiącego kuzyna. Jego szeroko otwarte oczy patrzyły przed siebie, spojrzenie przenikało ciemność przez wszystkie warstwy nocy, aż na drugą stronę świata, ale nic nie widziało.

Stasio zatrzymał się nagle i pociągnął nosem. Wyprostował przed siebie ramiona, ujął coś niewidzialnego i włożył do ust. Potem wyszedł z jadalni, skręcając w lewo i kierując się do pokoju, który zajmowała Teresa, jego matka, z jego małą siostrą.

Chłopiec nacisnął klamkę i wsunął się do środka. Tutaj było ciemniej niż w pozostałej części domu. Ciężkie story zaciągnięto szczelnie, z wazonu z liliami uwalniał się duszący zapach. Stasio podszedł do łóżka i powąchał matkę, przyjrzał się buzi siostry, dotknął policzka palcem. W policzku zrobił się dołeczek, Anulka machnęła rączką, mama zakopała się pod kołdrę.

Stasio obszedł pokój i zatrzymał się przy stoliku, na którym leżała biżuteryjna torebka. Zanurzył w niej rękę i wyjął ze środka płaską papierośnicę. Tę także powąchał. Potem uwolnił zatrask i dobył papierosa. Resztę odłożył na miejsce i wyszedł z pokoju.

Coś stuknęło, znowu zagrzmiało.

Teresa obudziła się z cichym półsłowem, w ciemności dostrzegła uchylone drzwi. Pochyliła się nad córką, przyłożyła dłoń do jej czoła i odsunęła włosy z policzka. Przykryła dziewczynkę i boso wyszła z pokoju.

Stasio wrócił do jadalni. Bezszelestnie podszedł do Andrzeja i spróbował domknąć usta kuzyna. Andrzej chrapnął przeciągle i zmienił ułożenie ciała, ale śwista nie ustało. Stasio przymierzył papierosa i wetknął go Andrzejowi między wargi. Szczęka się zacisnęła, chłopiec zamilkł.

Stasio odwrócił się i podszedł do etażerki. Gdy uniósł ręce, wyglądał jak spłachetek prześcieradła suszący się na sznurze. Długa koszula nocna sięgała kostek, świeciła bielą w ciemności. Stał tak chwilę, po czym złożył ręce, klęknął i przeżegnał się zamasyście, przyginając głowę do ziemi.

— *Pater noster, qui es in caelis sanctificetur nomen tuum adveniat regnum tuum fiat voluntas tua sicut in caelo et in terra* — powiedział głośno i wyraźnie, po czym wstał.

Zbliżył się do mebla, chwycił go z obu stron i potrząsnął. Kieliszki w środku zabrzęczały głośno, ten, który stał na blacie, spadł i rozbił się.

Stasio się cofnął, pochylił głowę i rzekł:

— *Amen.*

Po czym podszedł do swojego pośłania i położył się spać.

— Jezusie, znowu się zaczyna — szepnęła Teresa, która obserwowała całą scenę.

Uprzątnęła szkło.

Upewniła się jeszcze, że chłopcy śpią, i z szalem na ramionach wyszła przez kuchnię na zewnątrz. Na ławeczce pod murem zapaliła papierosa.

Nagle od strony stodoły usłyszała nierówne kroki, zwróciła głowę w tamtym kierunku. Ignacy Walasek, który na parafii wykonywał drobne prace remontowe, podpierając się kulą, szedł wzdłuż kościelnego muru i dźwigał w jednej garści dwa kufle napełnione piwem.

## 2

Dom Josepha Otta, kościelnego organisty, stał w centrum wsi, przy placu ze studnią. Wchodziło się do niego przez krótką sień, wprost do obszernej kuchni z piecem i wnęką na spiżarkę, a także miejscem z szaflikiem do mycia, oddzielonym lnianą zasłonką od reszty pomieszczenia. Dalej był przejściowy pokój, podłużny i nieco ciemny. Tu znajdowały się drzwi do pokoju Josepha oraz drzwi do piwnicy.

Łóżko jego wnuczki, Emilii, stało w przejściowym pokoju, tak samo jak posłanie Petera, jej brata. Przez dwuskrzydłowe drzwi kuchenne, wiecznie otwarte, przepływał zapach jedzenia albo mydlin, którymi Emilia szorowała drewnianą podłogę. Zatrzymywał się na zawsze zamkniętych, przeszkłonych drzwiach ostatniego pokoju. Tam było królestwo maestra i tam odbywały się lekcje gry na skrzypcach.

Emilia potarła dłonie, pomacała zgrubiały i nieco sztywny palec serdeczny lewej dłoni.

\*\*\*

Jakub poruszył się niespokojnie i zamknął oczy.

\*\*\*

Ott po wieczornej mszy poszedł prosto do karczmy, chociaż po południu był tak słaby i kaszlący, że wydawało się, iż w ogóle nie powinien wychodzić. Peter zasnął szybko, a Emilia przewracała się z boku na bok, lecz nie mogła zasnąć. Nocne światło miękko ścieliło się w kwadracie okna, cykanie koników polnych wybijało rytm. Dziewczyna wstała, podeszła do komody i wysunęła szufladę; dotknęła zetłalej sukienki babki; a może matki, nie wiedziała. Sięgnęła po chustę i zakryła nią sepiowy ślubny portret babki Janiny i młodego feldfebla Josepha Otta. Może zaśnie, gdy dziadek nie będzie na nią patrzył ze zdjęcia.

Wróciła do łóżka i na leżąc pomodliła się cicho, z przyzwyczajenia jedynie, nie z wiary. Miała wrażenie, że rozmawia wtedy z matką. Zasnęła, lecz pod dom przypłynęły suche zjawy, chwiejnie wspięły się na parapet, poddusiły. Obudziło ją drobne szuranie. Nie ruszając się, spojrzała spod powiek. Przy otwartej szufladzie kredensu stała babka w sukni ślubnej i welonie. Wyrzucała ze środka ubrania, niektóre odkładała na stół, mamrocząc coś pod nosem. Emilia westchnęła: znowu będzie kipisz. Uniosła się na łokciu i spojrzała w stronę Petera, ale chłopak spał, pochrapując.

— Nie wiesz, gdzie moje desusy? — zwróciła się babka do dziewczyny.

— Co? — zapytała Emilia, bo nie usłyszała.

— No majtki moje, gdzie są, nie wiesz?

— Może już schowałaś do walizki.

Babka odwróciła się i wyjęła spod łóżka walizkę, której nie było. Położyła ją na stole, otwarła i wpatrzyła się w blat.

— Tutaj nie ma. — Pogmerała dłońmi i odwróciła się do Emilii.

— Józek — powiedziała — wszystko będzie dobrze, prawda? A może nie jechać do Wiednia? Może do Krakowa lepiej, Józek?

Emilia wzdrygnęła się, bo babka zaczynała się robić sepiowa, a usta zmieniały się w czarną dziurę pełną wysypującego się z nich pyłu.

— Wszystko będzie dobrze, Janeczko — powiedziała dziewczyna, zamykając oczy, żeby przetrzymać moment, gdy zjawa rzuci jej się z płaczem na szyję.

Nie stało się to jednak, bo drzwi wejściowe trzasnęły tak głośno, że spłoszyły Janeczkę. Babka uleciała pod sufit i rozplynęła się w powietrzu.

W sieni dał się za to słyszeć stłumiony kobiecy śmiech, stukot obcasów po drewnianej podłodze oraz schrypnięty głos dziadka.

Emilia przyskoczyła do ściany, przylgnęła plecami.

— Emilia! — krzyknął dziadek i roześmiał się, aż śmiech przeszedł w kaszel.

Dziewczyna drgnęła. W bladym świetle lampy kuchennej widziała płaczące się cienie, kładące się na ściany i spływające z sufitu niczym jakieś oniryczne stwory. Usłyszała brzęk szkła, a towarzysząca dziadkowi kobieta zachichotała.

Emilia zaczęła się skradać przez pokój. Żeby wejść do piwnicy, gdzie kryli się z Peterem przed pijanym dziadkiem, musiała przejść przez jasny prostokąt światła z kuchni. Sunęła ostrożnie przy ścianie, wciskając głowę w mur, nie chcąc się zdradzić. Po drugiej stronie pokoju widziała już szczupłą twarz Petera, przycзанego tak jak ona. Położyła palec na ustach: Ciii, odgoniła brata ręką. Chłopak otworzył drzwi do piwnicy, za którymi ciągnęły się schody w dół, i zamarł, bo zawiasy skrzypnęły.